

Warszawa, 23 października 1889

Październik tego roku był jak z kalendarza. Złota jesień trwała od dwóch tygodni i ulice miasta nie pokryły się jeszcze jesiennym błotem. Dzięki budowie pana Lindleya z wielu miejsc zniknęły cuchnące rynsztoki i można było chodzić, nie przykładając do nosa perfumowanej chustki. Lepiej niż w Piterze¹, tam powszechnej kanalizacji jeszcze się nie doczekali. Słoneczko przygrzewało, nie za mocno, w sam raz na służbowy płaszcz, dymy szły wysoko w niebo i niknęły rozwiane wschodnim powiewem. To był dobry dzień na obchód najlepszych ulic lub spacer na drugą stronę Wisły i podziwianie złotej jesieni w parku Aleksandrowskim², niekoniecznie zaś na żmudną policyjną robotę, na jaką się zanosilo.

Nowa kamienica przy Koszykach³ była typową nową kamienicą warszawską. Dwie figury kobiece podtrzymujące balkon nad bramą. Duże łuki okien sklepowych. Lśniąca tafla szkła i mosiądz ram. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu sklep na dole oznaczał dom niższego gatunku, dla pospólstwa. Wyżsi urzędnicy, ludzie majątni woleli kamienice o funkcjach tylko mieszkalnych. Dopiero otwarcie domu handlowego Hersego⁴ uświadomiło właścicielom posesji, że sklep może być elegancki, zwiększać wartość domu i atrakcyjność wynajmowanych mieszkań. Tylko musi nazywać się „Salon mody”, „Futra z Paryża” albo w najgorszym razie „Artykuły kolonialne i luksusowe”. I właśnie salon mody kapeluszonej mieścił się na parterze kamienicy. Andrzej spojrzał na różowy kapelusz z delikatną woalką. „Lenie byłoby w nim do twarzy. Musi tu zajrzeć po zakończeniu śledztwa” – przemknęło mu przez myśl.

Wtedy jeszcze, nawet nie zdawał sobie sprawy, że jeszcze nie raz zawita w tej kamienicy. I że widok kapeluszy na bezcielesnych głowach jeszcze mu obrzydni. Nocami zaś zaczną go

¹ Piter (pot. z ros.) – Petersburg.

² Park Aleksandrowski – obecnie park Praski.

³ Koszyki – obecnie ulica Koszykowa.

⁴ Ekskluzywny dom mody Hersego został otwarty w 1868 r.

męczyć koszmary, w których gładkie twarze szczerzyć będą białe zęby i błyskać namalowanymi oczyma.

Stróż w bramie blokował wejście na klatkę. Wokół kłębił się tłumek gapiów i lokatorów – zarówno tych, co właśnie wyskoczyli z domu w przydeptanych kapciach i podomkach na rozchełstanych koszulach, jak i tych w modnych jesiennych płaszczach. Stróż w granatowej sukiennej kurcie szerokimi barami przesłaniał drzwi. Ukłonił się Andrzejowi zdawkowo i spojrzał z widoczną odrazą. Ach, to jeden z tych, co sami będąc na policyjnej liście płac, z pogardą odnoszą się do funkcjonariuszy. „Sprzedawczyk” zdawało się mówić to spojrzenie. Przez cztery lata służby w Królestwie już zdążył przywyknąć do tej obłudnej wyższości małych patriotów.

Marmurowe schody wiodły prostymi biegami. Korytarz jasno oświetlały gazowe lampy. Mieszkanie na pierwszym piętrze było otwarte, a w drzwiach stał stary przystaw Morozow i jakichś dwóch stójkowych. Morozowa Andrzej lubił. Mógł ufać jego doświadczeniu i temu, że w swojej rutynie nie przepuści najmniejszego drobiazgu. Już kilka razy Andrzej był świadkiem, jak stary wykazał się spostrzegawczością, tym dostrzeganiem pozornie nieistotnych szczegółów i wiązaniem ich w ciągi przyczynowo-skutkowe. Oczywiście Morozow był leniem. Jak wszyscy przystawi. Lecz leniem doświadczonym i inteligentnym. Co ważniejsze, chętnie dzielącym się swoimi spostrzeżeniami z innymi. To niecodzienne w tej służbie. Fakt, że wezwał kogoś z szarży, wskazywał, że sprawa jest nietuzinkowa.

– Witajcie, Morozow.

– Witam, *wasze błagorodie*.

– Co tam?

– Paskudnie, *wasze błagorodie*, sami zobaczcie.

Andrzej obejrzał uważnie piękne, lśniące mahoniem drzwi mieszkania.

– Nu, żadnych śladów włamania. Sam sprawdzałem.

– A czornyj wchod⁵?

– Zamknięty, zasuwą od wewnątrz nieruszona. Też bez śladów włamania. Mogli oczywiście wejść tamtędy i zamknąć za sobą. Ale myślę, że weszli od frontu.

No tak, służąca leżąca tuż za progiem, z głową ułożoną niemal symetrycznie na kwadracie zadbanego dębowego parkietu i z poderżniętym gardłem, zdawała się potwierdzać ten scenariusz.

Ogromne tremo w ciemnodębowej, rzeźbionej ramie zajmujące z arszyn ściany zwielokrotniało ciało dziewczyny. Młoda, całkiem ładna, ocenił Andrzej. Pewnie ma z siedemnaście lat, ale żyje już kilka lat w mieście. Ufryzowane blond włoski wystawały spod czepka. Okrągła buzia rozciągnięta była ni to w uśmiechu, ni to w grymasie zdziwienia. Cały przód sukienki zalany był krwią. Uwagę przyciągała staranność ubioru dziewczyny. To nie był strój do sprzątania czy gotowania. Raczej na wyjście na piątkową zabawę. Mała elegantka. Na nogach pantofelki. Tak nie ubierają się służące. Chyba że na tę najważniejszą randkę. Ta wybrała się na ostatnią.

Kłęknał. Dziwny zapach. Aha, to krew zmieszana z woskiem do podłóg. Niedawno pastowane. Posadzka aż lśniła świeżą, głęboko miodową barwą. Obejrzał ręce, żadnych śladów, ot, normalne dłonie pracującej dziewczyny. Żadnych więcej obrażeń. Gardło poderżnięte było jednym czystym cięciem, od prawej do lewej, bardzo ostrym narzędziem. Raz i po wszystkim.

– Co o tym sądzicie, Morozow? – spytał, wstając i otrzepując służbowe spodnie.

⁵ Czornyj wchod (ros.) – drzwi dla służby, wychodzące na inną klatkę, którą noszono węgiel, stąd nazwa.

– Otworzyła im drzwi. Weszli, chciała się przywitać, a ci, chlast, podcięli jej gardło. Nawet nie zdążyła miauknąć. Przecięta krtąń i struny głosowe.

„Struny głosowe” – takiego słownictwa Andrzej się po Morozowie nie spodziewał.

– Padła na wznak, lekko pchnięta. Musiała ich nieźle zachłapać krwią, z takiego gardła tryska jak z fontanny.

– Ich? – Andrzej zwrócił uwagę na ten szczegół wywodu Morozowa.

– Na pewno było ich więcej niż jeden. Lub jedna.

– Jedna?

– Ja bym niczego z góry nie zakładał. Mogli być wspólnicy. Może też i być wspólniczka.

Służąca mogła otworzyć dziewczynie.

Hm. Morozow coś musiał wiedzieć. Lub przeczuwać. Ale Andrzej wolał sobie poukładać fakty po swojemu. Najpierw obejrzyć miejsce zbrodni. Przyjrzeć się ofiarom. Odpytać świadków. Przesłuchać tego bufoniastego stróża. I dopiero potem pogadać z Morozowem o jego teorii.

– A jak tam dalej?

– Nie lepiej, *wasze błagorodie*.

Faktycznie dalej nie było lepiej. Z korytarza podwójnie przeszklone, oflankowane przeszkloną ścianką drzwi odchodziły na prawo. Salon elegancki. Przy piecu wielka roślina, liście jak dwie dłonie mężczyzny. Ciężki, orzechowy stół przygotowany na sześć osób, krzesła o modnie wygiętych nogach, tapicerowane brązowym pluszem, jedno przewrócone i rozprute. Za stołem widoczne drugie drzwi. Tam na progu dziecięcej sypialni leżał może pięcioletni chłopczyk. Czarne kędzierzawe włoski. Długa nocna koszulka czerwona od krwi, poderżnięte gardło. Znowu jeden szybki ruch i głowa prawie odpadła od ciała. Andrzej

widował takie cięcia u górali kaukaskich czy kaspijskich. Ci operowali kindżalem jak chirurg lancetem.

W tej kałuży krwi widać było wyraźnie odciski butów wychodzące na dębową posadzkę, tu ułożoną w gwiazdy z ciemniejszych i jaśniejszych klepek. Odbiły się kwadratowe, modne noski męskich butów i coś dziwnego jak walonki. Andrzej pochylił się nad śladem, wzrokiem szukał kolejnych.

– Są tylko tutaj. Nigdzie więcej ich nie ma. Te ślady to od worka.

– Od worka?

– Tak, na buty założyli worki. Stary złodziejski numer. Dwa leżą tam, w kącie. I tym workiem wytarli też inne ślady butów i podeszwy. Na klatce nie ma ani kropli krwi, sprawdziłem na górze i na dole. – Morozow był naprawdę solidnym policjantem.

W sypialni story były zaciągnięte, panował półmrok. W łóżeczku po prawej stronie leżała mała postać przykryta poduszką.

– Dziewczynka, ze trzy latka, uduszona we śnie.

Głos Morozowa był twardy, ale słysząc w nim było wzbierającą wściekłość. Pragnął dopaść zabójców. Siostrzenica Morozowa miała niedawno drugie urodziny. Razem to opijali.

Andrzej wzdrygnął się, widząc wystające spod poduszki mysie ogonki włosów. Dobrze że przynajmniej zginęła we śnie, może nawet nie zdążyła się wystraszyć.

Na środku pokoju wybebeszona, rzeźbiona w esy-floresy dębową trzydrzwiowa szafa, wyrzucone koszule i suknie, oderwana tylna ściana i w głębi rozwarte żelazne drzwiczki.

Sejf. Czym go otworzyli? Wytrych, narzędzia, nie na siłę. Ktoś znał się na robocie i wiedział, gdzie szukać, bo meble dziecięce były nienaruszone.

Za to salon wyglądał, jakby w nim przeszedł huragan. Prawie wszystko było pootwierane, ale nie dało się dostrzec śladów zniszczeń. Nikt tu bezmyślnie nie rozbijał mebli, szuflady przetrząsnęto w poszukiwaniu tajnych schowków i biżuterii. Zabrali wszystko, co miało dużą wartość i co łatwo było spieniężyć. Obrazy, beznadziejne romantyczne landszafty z zachodami słońca, niewiele warta masówka – nieruszone. Brali, co można stopić i sprzedać. Typowe.

Sypialnię państwa domu przeszukano mniej dokładnie. Tylko wybebeszyli ciemnoorzechowe komódki przy łóżku.

Pan domu, łysiejący, z czarnymi bokobrodami leżał przewieszony przez skraj wspartego na lwich łapach łoża. Głowa zwisała mu jak u lalki. Też jedno cięcie. Tylko jego żona zginęła od innego ciosu zadanego z dużą siłą. Zwykły nóż kuchenny wbity w serce. Fachowe uderzenie.

To była robota profesjonalistów, nie zostawili nic – zegarków, biżuterii. Na dłoniach małżonków ślady otarcia po zdarciu obrączek. Zaś małego pistoletu z rączką z masy perłowej spod poduszki nie ruszyli. Jak widać, pan domu obawiał się napadu, ale nie na wiele mu się przydała ta ostrożność.

Gabinet porządnie przeszukano, szuflady z ciężkiego biurka wyrzucono na gruby, zielony dywan.

– Był rejentem – powiedział Morozow podążający za Andrzejem jak cień.

– Rejentem, to ciekawe. Mógł mieć pieniądze klientów. Warto sprawdzić. Weźcie kogoś do pomocy, tylko gramotnego. Może Mondrzejewski i Tomaszewski? Niech uporządkują i przejrzą księgi. Może coś wygrzebią, tylko ostrożnie. Rejent z takiej kamienicy musiał mieć koneksje.

Tomaszewski był jak terier, wątku raz znalezione nie odpuszczał. Jeśli ktoś ma coś znaleźć w papierach porzucanych po podłodze, to on. A Mondrzejewski niech się uczy.

Rozległo się ciężkie tupanie na klatce.

– Lekarz, *wasze blagorodie* – zawołał stójkowy.

Doktor Wilmowski przepchnął się przez drzwi. Ale nawet nie zdążył otworzyć ust, gdy z klatki dobiegł ich dziki kobiecy wrzask.

– Antoś! Helenka!

Na dole stróż szarpał się ze smukłą osóbką w szarym płaszczu i kapelusiku, spod którego wylewała się fala brązowych loków. Kobieta pchnęła stróża, wcześniej kopnąwszy go w kostkę, i wdarła się na schody. Stójkowi nie mogli jej utrzymać.

– Puście mnie do moich dzieci! Co się z nimi stało? Złaż z drogi, łajdaku! – Z fiołkowych oczu za okrągłymi okularkami błyskały wściekle ognie. – Już, zjeżdżaj z drogi.

Zderzyła się z Andrzejem, który podskoczył do progu, i trochę ją to wyhamowało.

– Pani jest matką tych dzieci? – zapytał tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– No, nie – odparła lekko zaskoczona panienka. – Ale prawie.

– To kim pani jest i co pani tu robi?

– Magdalena Kosakówna, opiekunka dzieci, guwernantka. Co tu się dzieje? Żądam wyjaśnień. Chcę widzieć dzieci.

– Gdzie pani była wczoraj i ostatniej nocy?

– Co się stało? Niech pan mnie puści do Antosia i Helenki.

– Ja tutaj zadaję pytania. Więc pytam, gdzie pani była ostatniej nocy?

Pod ostrym spojrzeniem Andrzeja panienka wyraźnie oklapła.

– To był czwartek. Zawsze w czwartek mam wychodne. Idę do siostry na Wołową⁶ i tam nocuję. Siostra mieszka z mężem.

– Kim jest mąż?

– Szymon Małachowski, przedsiębiorca budowlany.

Nazwisko nie było obce Andrzejowi. Firma Małachowskiego budowała drogi publiczne, parę razy dostał bardzo intratne kontrakty rządowe.

– Zawsze we czwartki nocuje pani u państwa Małachowskich? – dociekał Andrzej.

– Kiedyś nie zawsze, ale ostatnio tak. Siostrze urodził się synek. Lubię się nim zająć i ostatnie miesiące to już każdy czwartek u niej. Ale czemu nie mówi pan, co z Antosiem i Helenką? Gdzie oni są?

– Nie żyją.

Ku zaskoczeniu Andrzeja panienka nie wybuchła płaczem, nie zemdląła, nie zaczęła wrzeszczeć. Stała jak osłupiała i nic do niej nie docierało.

– Zajmij się panią Morozow – powiedział, wracając do splądrowanego mieszkania.

Gotówka i biżuteria. No tak, to był główny łup bandytów. To przepada bez śladu. Chodził od pokoju do pokoju i nie mógł znaleźć żadnego punktu zaczepienia. Czas przesłuchać świadków. Jednak nim zdążył cokolwiek zrobić, znowu jak duch pojawił się Morozow.

– Proszę na słóweczko, *wasze błagorodie*.

Przeszli do salonu, gdzie przynajmniej nie było trupów.

– No, co się dzieje, Morozow?

⁶ Wołowa – obecnie część ulicy Targowej.

– Dobrze, że *wasze blagorodie* zajmuje się tą sprawą, już się obawiałem, że dadzą ją Malinowskiemu.

No tak, zwykle sprawami pospolitych morderstw wśród polskich mieszczan zajmował się Malinowski. Andrzejowi dawano sprawy z Rosjanami.

– No i?

– Bo to nie pierwszy raz.

– Co nie pierwszy raz? – Andrzej nie wierzył własnym uszom. Przecież o podobnie drastycznym morderstwie musiałoby być głośno. W końcu Warszawa to małe, spokojne miasto, nie jakaś Łódź czy Piter, stolica imperium, gdzie na nowych przedmieściach trup się gęsto ściele.

– Bo te poprzednie to byli, panie poruczniku, Żydy i taki jeden.

Żydzi. To wiele wyjaśniało. O morderstwach na Żydach nie mówiło się dużo. Kogo obchodzi, że jednego parcha mniej? Tak rozumowało naczalstwo. Tak uważali polscy przystawi. Zresztą i gmina żydowska nie lubiła carskiej policji. Oni mieli swoją *dintojrę*⁷ i wszystko było szyto-kryto.

– Jacy Żydzi i jaki znów jeden?

– No Żyd, taki ze Śliskiej. Ni to adwokat, ni to lichwiarz. On, żona, służąca i czworo dzieciaków. To było w maju. Wyglądało tak samo jak tutaj. Przy drzwiach służąca, poderżnięte gardło, oni zabici w łózkach, jedna mała na korytarzu, pewnie też usłyszała hałas. Pełno krwi, a śladów żadnych. Węszyłem za tym...

– Czemu?

⁷ *Dintojra* (jid.) – sąd żydowski.

– Kahał daje tysiąc celkowych⁸ nagrody za znalezienie sprawców.

Tak, to mogło zachęcić Morozowa. Dwuletnie pobory.

– Ponoć w domu było dużo złota od jednego klienta. Nikt się o nic nie upomniął. Jak temu adwokatowi było? Jagiełło albo Kościuszek...

Teraz Andrzej sobie przypomniął. Coś to tym słyszał. Mecenasy Łokietek. Żydzi lubili historyczne nazwiska. To było w maju.

– A ten „taki jeden”?

– To nie nasz rewir, Ochota. Jakiś lewus, żulik. Też zarżnięty, on i dziewczucha ze wsi, ponoć jakiś łup zniknął.

– Czemuście mi nic nie mówili?

– To sprawy Malinowskiego, zresztą do dziś nie widziałem związku. Morderstwa jak morderstwa. *Wasze błagardie* wie, jak jest, pracy nie brakuje, człowiek nie wie, którą ręką ma się podetrzeć.

Ech, te kwieciste rosyjskie wulgaryzmy. Andrzej uwielbiał ich melodię. Uśmiechnął się lekko, po raz pierwszy w tym ponurym dniu.

– Dobra robota, Morozow. Pogadamy o tym, jak skończycie przesłuchiwać lokatorów. Idźcie już, muszę to przemyśleć.

Wrócił do doktora. Wilmowski uważnie przyglądał się ofiarom.

– Coś dziwnego, doktorze?

– Świetne cięcie, sam bym tak nie potrafił. Ręka rzezaka.

⁸ Celkowe (z ros.) – ruble.

Rzezak. No, na taki pomysł by nie wpadł. Choć w sumie też możliwe. Dobry koszerny rzezak potrafi poderznąć gardło krowie jednym cięciem. Co prawda, krowa jest zwykle wtedy ogłuszona. Tym niemniej warto będzie popytać przy rzeźni na Pradze.

– Niech pan sprawdzi, doktorze, czy dziewczyna była dziewicą.

– Dobrze. Już teraz? A po co?

– Nie wiem, nie pali się, ale to może być ważne. I wszystko, co wyjdzie przy sekcji. Cokolwiek nietypowego.

– Znam swoją robotę, poruczniku.

– Oczywiście, przepraszam, panie doktorze. To taka cholernie obrzydliwa sprawa. Te szkraby. A swoją drogą, słyszał może pan, doktorze, o adwokacie Łokietku?

– Chyba nie żyje, nic więcej nie wiem.

– Niech pan sprawdzi, kto robił obdukcję zwłok i co jest w protokole. To może być ważne.

– Aha, sprawdzę. Jak patrzę na to cięcie, to przypomina mi się Pyrzak i jego służąca.

– Pyrzak?

Czyżby ten żulik, o którym mówił Morozow?

– Zwykle takimi się nie zajmuję. Pyrzak to był dość znany na Ochocie paser. Zabito go ze dwa miesiące temu. Wezwano mnie przypadkowo, bo mieszkam obok. Bardzo to podobnie wyglądało. Oboje z poderżniętymi gardłami.

Andrzej poczuł, jak mu się włosy jeżą na karku. Czyżby w mieście grasowała szajka morderców – rzeźników. Jak się prasa dowie, nie chciałby być w skórze naczalstwa.

– Panie doktorze, spotkajmy się wieczorem. Podjadę do pana na Grójecką. Muszę wszystko spisać. Te sprawy wydają mi się powiązane.

– Jak pan chce, poruczniku, po szóstej będę w domu. Myśli pan, że to ten sam sprawca?

– Kto wie. Teraz muszę przesłuchać mieszkańców, może ktoś coś widział.

Ledwo wyszedł za drzwi, natknął się na pannę Kosakównę. Siedziała u szczytu schodów, na marmurowej, zdobionej zielonymi kwadratami nieznanego mu kamienia, posadzce, kolana podciągnęła pod brodę. Suknię miała mokrą od łez, lecz już nie płakała. Teraz jej fiołkowe oczy były suche, czerwone, a ładna buzia cała w plamkach. Kapelusik leżał na ziemi. Dłonie w łososiowych rękawiczkach splotła wokół kolan.

– Panie poruczniku – powiedziała, unosząc głowę – musimy porozmawiać.

W jej głosie nie było śladu uprzedniej hysterii. Brzmiał twardo, choć bardzo smutno. Biedna dziewczyna, widać było, że bardzo się przywiązała do dzieci. Z drugiej strony miała szczęście. Mogła leżeć tam, na kozetce w dzieciennym pokoju, z poderżniętym gardłem.

– Słucham panią. – Po chwili wahania wskazał jej drzwi Wolskich i weszli do środka, mijając się z doktorem i stójkowymi wynoszącymi martwą służącą. Przecież i tak miał przesłuchać guwernantkę. Tylko ona znała rodzinę.

Weszli do kuchni – jedyne miejsce bez śladów napadu. Andrzej podsunął dwa wytarte zydle, zbite pewnie przed pół wiekiem, i ciężko usiedli. Porucznik oparł się łokciem o mosiężną poręcz zabezpieczającą teraz całkiem wystygły żeliwny blat kuchni i skinął dziewczynie, by zaczynała.

– Bałam się o nią – cicho powiedziała Kosakówna. – Ostrzegałam ją przed tym lujem⁹.

Bałam się, że zwabi ją do takiego przybytku... – Zarumieniła się lekko. – Ładna była i głupia. Takie często tam kończą. Od początku mi się nie podobał. Nie spodziewałam się jednak śmierci, tragedii.

⁹ Luj (od fr. Louis) – lujem Niemcy, a potem i warszawiacy, nazywali sutenerów. Nowa nazwa alfons – wywodząca się z francuskiej książki *Monsieur Alphonse*, dopiero się przyjmowała.

– Zaraz, niech pani opowiada po kolei. Od kiedy pracowała pani dla rejenta Wolskiego i wszystko, co pani wie.

Wątek zaczął robić się interesujący. Może Kosakówna coś wie? Jeśli sprawa dotyczyła domów uciech i gryzetek¹⁰, to sieć informatorów szybko to wyjaśni. U tych bandytów rubel łatwo rozwiązywał języki i ceniony był ponad lojalność. Dla policjanta z rakiem¹¹ lub białym papierkiem¹² w garści nie było tajemnic.

– Pan rejent Wolski przyjął mnie do pracy we wrześniu rok temu. Helenka tamtym latem skończyła roczek, a Antek miał trzy latka. – W oczach panienki błysnęły łzy, ale szybko je przełknęła i kontynuowała ściśniętym głosem. – Pani Maria chciała, aby jej dzieci wcześniej zaczęły się kształcić, a ja mam dobrą rękę do maluchów. U sędziego Morawskiego dzieci przygotowałam do szkoły i chłopak teraz będzie kończył ze złotym medalem.

W głosie Kosakówny pobrzmiwała nieukrywana duma. Znaczyło to, że musiała być starsza, niż wyglądała. Musi mieć ze dwadzieścia trzy lata, trzeba też będzie sprawdzić u sędziego Morawskiego.

– Antek był pojętnym uczniem, a i Helka była bystra. Już do pięciu liczyć umiała. – Znowu łzy w oczach, siąknięcie nosem i ciągnęła. – Państwo byli mądrzy, mnie traktowali jak swoją. Nawet dla tej głupiej Joasi byli za dobrzy, zepsuli dziewczynę.

Joasia, więc takie imię nosiła nieszczęsna służąca.

– Joanna, a jak dalej?

– Joanna Kluska, gdzieś spod Żuromina. W papierach pana rejenta jest list od księdza z jej rodzinnej parafii.

¹⁰ Gryzetka (pot.) – panienka lekkich obyczajów.

¹¹ Rak – dziesięciorubłówka, nazywana tak od koloru banknotu.

¹² Białą papirerek – banknot dwudziestopięciorubłowy.

Do Warszawy ściągaly dziewczyny nie tylko z Mazowsza, ale i z Kujaw, Podlasia czy biednego Świętokrzyskiego. Daleko szukać, on sam przyjechał spod Opoczna.

– I co z tą Joasią?

– Fiu-bździu w głowie miała. Stroje, fety, książkę z bajki jej się śnił. Dlatego się bałam, że wpadnie w łapy jakiegoś luja. Oni na takie dziewczyny tylko czekają.

– Poznała jakiegoś?

– Tak naprawdę nie wiem. Raz ją z nim widziałam, z miesiąc temu, jak z cukierni wychodziła.

– Jak on wyglądał?

– Tak uważnie się nie przyjrzałam. Daleko byli. Wysoki. Wyższy od was. Bardzo elegancki, w cylindrze, jasny frak. Wyglądał jak prawdziwy pan i to mnie zaniepokoiło.

– Włosy? Zarost? Kolor oczu

– Nie widziałam. Włosy chyba ciemne, jak i wąsy. Zakręcone jak u pana porucznika. Tylko ciemniejszy na skórze. Jakby utykał na prawą nogę. Pytałam potem Joasi, kto to. Nic nie powiedziała. Ostrzegałam ją. Ale nakrzyczała na mnie, że zazdrośnica jestem. Że on się z nią ożeni i wtedy mi oko zbieleje, jaką ona panią będzie. Nic więcej nie wyznała. Ja też zajęta była swoją siostrą i Jursiem. Pani nic nie powiedziałam. Może gdybym... – Znowu łzy popłynęły swobodnym strumieniem. Andrzej bez słowa podał jej swoją chustkę i ciągnął pytania.

– Nie wie pani, gdzie się z nim spotykała? Jakies listy pisali?

– Joaska czytać nie bardzo umiała. Co miałby jej pisać? Dopiero niedawno z książeczki do nabożeństwa uczyć się zaczęła, nawet trochę jej pomagałam. Ale powoli jej szło. Do nauki

głowy nie miała. O spotkaniach nic mi nie mówiła. Zresztą od dwóch tygodni czasu rozmawiać nie było.

– Coś jeszcze pani zauważyła?

– Jakiś pierścionek od niego dostała, pewnie ma go w swoim kuferku.

Jasne, kuferek służącej. Porucznik szybko przeszedł do kuchni i wyciągnął spod łóżka nienaruszony kufer. Zamek podważył nożem. Nic szczególnego. Dwie nowe bluzki, zapaska w kujawski wzór, pewnie z domu, stare chodaki. Tylko na samym dnie dwie rzeczy niepasujące do reszty. Cienki, złoty pierścionek z zielonym oczkiem. Obejrzał go ze znawstwem. Stara robota. Wężowy splot obrączki, nie jakaś tandeta. Może ktoś to rozpozna? Druga rzecz była jeszcze dziwniejsza. Czapka. Bardzo ładna futrzana czapka, w stylu rosyjskich szlachcianek, taka na wielkie mrozy. Skąd się tu wzięła? Na pewno nie pasowała do służącej. Andrzej podniósł oczy na Kosakównę.

– Wie pani coś o tym?

– Pierwszy raz widzę.

– Szkoda.

Każe zabrać Tomaszewskiemu, może coś z tego wyczyta.

– Jak pani żyła z gospodarzami? Co pani wie o interesach rejenta?

– Niewiele. Wiodło im się dobrze, często zaglądali tu przemysłowcy. Starozakonni, Niemcy, Rosjanie, ale i nasi. Nie dawniej jak w poniedziałek minęłam dwóch takich dostojnych w drzwiach. Siedzieli u pana Wolskiego ze cztery godziny.

Kolejny trop do sprawdzenia.

– Właściwie niewiele wiem więcej. Pani Maria była miła, ale jej świat był w teatrze. Całe dnie coś pisała. Sama lub z innymi paniami, czytały na głos. Na sztuki chodziła wszystkie.

– A pani?

– Ja? – Zaśmiała się sucho. – Prostej guwernantki na to nie stać. Szczególnie, jak się ma brata na utrzymaniu.

– Brata?

– Tak, mój Leoś ma jedenaście lat, do gimnazjum iść powinien. Obie z siostrą posyłamy, co możemy, choć Szymon się złości.

Normalna historia. Jak to u zubożałej szlachty. Dziewczyny miały szczęście, że są wykształcone. Siostra za mąż wyszła, może w niższej sferze, ale za pieniędzem. Ta też sobie radzi.

– Panie poruczniku... – Głos Kosakówny wyrwał go z zamyślenia.

– Tak, proszę pani.

– Jakbym coś mogła pomóc, to zawsze. Antoś i Helcia to były takie słodkie dzieciaki. Zrobię wszystko, by dorwać tego luja i tych bandytów.

– Oczywiście, oczywiście, ale niech się pani nie trudzi. My, policja jego cesarskiej mości, zajmiemy się wszystkim.

Już miał odejść, gdy przypomniał sobie ważną rzecz.

– Jeśli potrzeba będzie panią znaleźć, to gdzie szukać?

– Teraz będę u siostry, Wołowa cztery, póki czegoś nowego nie znajdę. Nie będzie łatwo z taką historią.

Prawda, ludzie bywają przesądni. Reputacja dziewczyny na pewno na tym ucierpi. Nie będzie jej lekko.

– Dziękuję. – Odprowadziwszy ją do drzwi, dodał: – I szczęścia pani życzę.

– Niech pan ich dorwie, poruczniku, to będzie moje największe szczęście patrzeć, jak zawisną na szubienicy.

– Będzie pani wiedzieć pierwsza, panno Kosakówno. Niech pani wie: ja nie odpuszczę. Ktokolwiek to zrobił, zapłaci za to. Oficerskie słowo honoru.

Spojrzała smutno na niego.

– Dziękuję, panie poruczniku.

Akurat nadchodzili Tomaszewski z Mondrzejewskim. Kosakówna przecisnęła się obok nich i znikła na schodach.

Andrzej wyjaśnił agentom, co mają zrobić, i ruszył śladem dziewczyny. Czas na przesłuchania. Sąsiadów zostawił Morozowowi. Nie sądził, by cokolwiek ważnego widzieli. Oczywiście znajdzie się jakaś sąsiadka z góry, co się będzie zaklinać, że słyszała dziwne okrzyki i koński galop. Lub powie inną bzdurę. Takich świadków nigdy nie brakuje. Niemniej jednak trzeba być dokładnym, nigdy nie wiadomo, co może wyjść na jaw.

On postanowił porozmawiać ze stróżem. Jakoś bandyci dostali się do kamienicy. Ktoś ich wpuścił. Kto? Wiadomo, dozorca. Tylko jak to było?

Stójkowi rozpędzili tłum, stróż wrócił do swojej dozorcówki w bramie. Andrzej przeszedł do wąskich drzwi, jakby wyciętych w alabastrowej sztukaterii, zwieńczonych idiotycznymi bukietami gipsowych anemonów, i wszedł bez pukania. Z takimi trzeba grać twardo. Stróż zdążył się już rozebrać z granatowego uniformu i wyraźnie pocieszał się na szybko wódką zagryzaną cebulą. W zapyziałej klitce nie było nikogo innego. Idealne warunki do przesłuchania.

– Co? – Mężczyzna na widok Andrzeja odstawił kieliszek i niezdecydowanie zakołysał się na zydlu.

- Wstawaj i melduj, swołocz. I nie „co”, tylko „wasze błagorodie”.
- Ależ *wasze błagorodie*, co... – Stróż poczerwieniał na twarzy, ale nie zdążył nic więcej wykrztusić, bo Andrzej zastosował swój żelazny chwyt, ścisnął go za ramię i prawie uniósł w powietrze.
- O której ich tu wpuściłeś i ile ci zapłacili, bydlaku?
- Ależ, *wasze błagorodie*, ja wcale...
- Jeszcze jedno łgarstwo, a jutro w kajdanach powędrujesz na Cytadelę jako współnik. Chyba że cię najpierw sąsiedzi rozszarpia, jak się dowiedzą, żeś w tym brudne paluchy maczał. Więc gadaj, jak księdzu na spowiedzi, a krzywda cię nie spotka.
- Przyszedł koło drugiej w nocy. Ale on był tylko jeden. Ten sam dżentelmen co w ostatnie tygodnie. I dał mi półpolitnika¹³. Nigdy nie skąpił.
- Faktycznie niezła taksa za otwarcie bramy, zwykle dawało się aldyna¹⁴.
- Spotykał się też z nią u ciebie?
- Tylko raz, w zeszłą środę. Dał mi całą zieleniuszkę¹⁵ i przyniósł jej kwiaty.
- Mieszkanie ciecica wyglądało jak obleśna speluna, a nie gniazdko miłości. Po wąskim tapczanie pewnie hasały pluskwy, ale zakochanej dziewczynie niewiele było potrzeba.
- Kto to był?
- Skąd mogę wiedzieć, *wasze błagorodie*? Nigdy go wcześniej nie widział. Pan. Wyższy od was, wasza miłość, ze trzy werszki. Lekko utykał na prawą nogę. Twarzym dokładnie nie widział. Tylko te czarne wąsy, ale ciemny jakiś był.

¹³ Półpolitnik – moneta 25 kopiejek, politnik – półrubłówka.

¹⁴ Aldyn – moneta trzykopiejkowa.

¹⁵ Zieleniuszka – banknot trzyrublowy.

Opis zbliżony do tego, co mówiła Kosakówna. Tylko że niewiele dający. Utykanie mógł symulować. A dobry but i dwa werszki wzrostu dodać może.

– Często przychodził?

– Był tu z dziesięć razy.

– Wy zaś trzymaliście gębę na kłódkę?

– Płacił, a to nie moja rzecz, z kim się służba zabawia.

Andrzej poczerwieniał ze złości.

– Jakby, bydlaku, to była twoja rzecz, oni by jeszcze żyli. Dyskretny sukinkot jeden.

Stróż milczał. Chyba w końcu do niego zaczynało docierać.

– Co się zdarzyło wczoraj w nocy?

– Tak późno dotąd nie przychodził. Moneta była srebrna. I wsunął mi w rękę taką małą flaszkę. „Wypijcie za moje zdrowie”, powiedział. – Z wrażenia stróż zgubił i cwaniackość, i warszawską wymowę.

– Akcent jaki?

– Dziwny jakiś. Nie wiem skąd. Nie ruski i nie żydowski, chyba jednak nie nasz. Mówił cicho, jakby miał chore gardło.

Zmieniał głos, spryciarz. Po tym nie dojdiesz.

– I wypiliście?

– No tak, noc zimna była.

– Gdzie flaszka?

– Tam.

Andrzej wyciągnął spod szafki płaską szklaną butelkę i ostrożnie powąchał. Jechało z niej makowiną. Nic dziwnego, że stróż zasnął jak kamień.

– I nic więcej nie słyszeliście?

– No nie, ażem się rano obudził. To żem poszedł sprawdzić, czy u Wolskich wszystko w porządku, i lampy na schodach pogasić. Drzwi były otwarte, a resztę sami znacie, *wasze błagorodie*.

– Co znam, to nie twoja sprawa, bydlaku. Jak pytam, to masz odpowiadać, jak nie pytam, milcz, bo mnie jeszcze chęć nachodzi, by ci pysk przesunąć.

Sprawa była jasna. Stróż otworzył „panu”. Ten zaczekał, aż narkotyk zadziała, i wpuścił resztę bandy. Potem zapukał do Wolskich. Dziewczyna mu otworzyła, może mieli umówiony sygnał? Ostatni błąd w jej młodym życiu. Co tym dziewczynom jest, że im miłość rozum odbiera?

Nie czas na to. Trzeba pogadać z Morozowem, ustalić, czego on się dowiedział.

Morozow trafił na jeden drobny ślad. Pijaczek z oficyny w nocy wyszedł za potrzebą do wychodka na podwórko. Była czwarta. Widział kilka ciemnych postaci wychodzących z bramy. Coś nieśli. Nie, nie odezwał się do nich. Po prawdzie, to ledwo się trzymał na nogach. Taki z niego będzie świadek, jak z koziej dupy trąba.

Po powrocie do komendy miasta Andrzej wiedział, że raport dla przełożonych może poczekać. Najpierw musi lepiej zrozumieć, o co chodzi w tej sprawie. Czyli musi zacząć od prystawa.

– Morozow, znacie jakieś miejsce, gdzie można spokojnie porozmawiać?

– Tu niedaleko jest taki handelek, *wasze błagorodie*.